Z notatnika wiejskiego reportera: zemsta — msh

A dzisiaj Motylowa złamała nogę. Tak normalnie. Lazła po lodzie i złamała.
Krzyk przeszedł przez całą wieś, aż kury zachwiały się na grzędzie. Bo trzeba
wam wiedzieć, że Motylowa do kawał kobity: ze sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i, tak na oko, waga około setki, więc krzyk, który wyszedł z jej gardła, miał w sobie wielką siłę. No i właśnie Motylowa złamała nogę.
Motyl w tym czasie siedział w knajpie i wesoło gawędził o ostatnich sukcesach na polowaniu. Sukcesy to oczywiście powiedziane na wyrost, ale fakt faktem, że ostatnio trafił zająca i bardzo się tym przechwalał. Janek Gajdzis, który był z nim na polowaniu, a sam niczego nie ustrzelił, złośliwie rozpuszczał plotki, że zając był chromawy, a i pewnie czymś otumaniony, bo inaczej strzelić by się nie dał. Dość, że Motyl siedział w knajpie, kiedy jego żona krzykiem ogłosiła alarm we wsi.
Nie powiem, że szklanki się zakołysały w barze od tego krzyku, ale Felczak poderwał się ze swojego krzesła i przytknął nos do szyby.
- Ale się jakaś franca drze, jakby ją szlag trafił - skomentował.
- Daj Bóg, żeby to moja była - rozmarzył się Motyl całkowicie nieświadom sytuacji. Wtem drzwi knajpy otworzyły się hukiem i wpadł Jasiek, jego najmłodszy syn.
- Tato, tato mama nogę złamała i kazała ciebie wołać, bo lekarza trzeba - wykrzyczał zdyszany.
Motyl pokraśniał na gębie, jak zupa buraczana, i wstał z krzesła. Zachwiało nim, bo chociaż to chłop jak dąb, to osiem piw jednak zrobiło swoje .
- Ot, wykrakał - szepnął Felczak, ale Motyl zgromił go wzrokiem, narzucił na siebie kożuch i ruszył za synem.
- Tylko mi piwa mojego nie ruszać - rzucił groźnie na odchodnym i wiadomo było, że piwo przetrwa w nienaruszonym stanie nawet do wiosny, o ile Motyl do tego czasu w knajpie się nie pojawi.
Drzwi zatrzasnęły się, a do środka wpadło chłodne zimowe powietrze, jakby chciało zmrozić wszystkich chętnych do ruszenia nietykalnego.
Mniej więcej po pół godzinie, do wsi wjechała karetka na sygnale, a potem, również na sygnale, odjechała.

W knajpie Motyl pojawił się po tygodniu; zmizerniały i z mocno podkrążonymi oczami.
Zamówił dwa piwa i rozparł się przy barze.
- Siadaj Gienek, opowiadaj - zagadał Felczak, który jak zwykle po południu wpisywał się na listę knajpianych gości.
- A co mam ci mówić, chłopie - rzekł zrezygnowany Motyl - stara w łóżku od tygodnia, a ja zasuwam jakbym miał motorek w dupie: a to kury nakarmić, a to świniom podać i wyrzucić z obory gnój, to znowu obiady, pranie ...
- Pranie ???!!! - wyszeptał zatrwożony Felczak .
- A coś ty myślał, że dzieciaki brudne będą chodzić - odwarknął Motyl i nachylił się do Felczakowej gęby - pamiętaj, jak powtórzysz komuś ... - zagroził.
Felczak zbladł, jakby wysypał się na niego worek mąki i wystękał ze strachem w głosie:
- Coś ty Gienek, ja? Nigdy!
A Motyl kontynuował:
- No i to latanie po wszystko, co sobie zażyczy stara, bo lekarz kazał jej leżeć i przez 4 tygodnie nie wstawać, a ona ma humory: a to pomidorka, a to szklankę mleka, żeby się kości szybciej zrastały, a to ... .
W tym momencie, nagle, jakby diabeł wyskoczył spod przypiecka, w knajpie rozległ się głos piosenki "majteczki, w kropeczki ...". Motyl, aż podskoczył, a jego pięści zacisnęły się tak mocno, aż zbielały kostki dłoni. Felczak przełknął ślinę ze strachu i z oszołomienia. Tymczasem Motyl wyciągnął z kieszeni

kożucha komórkę i łamiącym się głosem powiedział:
- Halo.
W odzewie, z głośnika, dało się słyszeć skrzekliwe:
- Miałeś zaraz wrócić. Jeść mi się chce.
Felczak patrzył jak oniemiały na Gienka i w duchu przeklinał, że znalazł się o tej porze, właśnie w tym miejscu. Już prawie składał śluby przed najświętszą panienką, że nigdy więcej noga jego w knajpie nie postanie, gdy Motyl odezwał się nad wyraz spokojnym głosem:
- Już idę Zosiu - i wyłączył komórkę. Dopił piwo, nałożył futrzaną czapę i, nie odwracając się, rzucił na odchodnym groźne:
- Pamiętaj .
Drzwi się już dawno zatrzasnęły za Motylem, a Felczakowi jeszcze w uszach dzwoniły te słowa, a wargi drżały wykrzywione w niewyraźnym uśmiechu.

Minął miesiąc, kiedy Motylowa pojawiła się w sklepie. Natychmiast otoczył ją wianuszek kobiet i zewsząd padały pytania: "jak noga", "jak zdróweczko" , a Wiesiecka skomplementowała Motylową "no, no sąsiadko, wyglądacie jeszcze lepiej, niż przed tym wypadkiem" i w jej głosie po trosze ukryta była złośliwość, ale i podziw dla zdrowego, a zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, rumianego wyglądu Motylowej. Ta zaś szczebiotała wniebowzięta i odpowiadała na pytania, i byłaby niechybnie zdradziła tajemnicę dobrego samopoczucia, gdyby nie krzyk, który jak tajfun przeleciał przez wieś. Wszystkich w sklepie zdjęło trwogą, a Motylowa zbladła najmocniej, bo w tym ryku, wrzasku pierwotnym, rozpoznała głos Gienka, swojego męża. Zanim ktokolwiek wypowiedział słowo, drzwi do sklepu otworzyły się z hukiem i w progu stanął blady Felczak i, jak herold jaki, ogłosił wszem i wobec:
- Motyl złamał rękę .
Znowu we wsi zabrzmiał sygnał karetki i znowu po jakimś czasie się oddalił , żeby po chwili umilknąć całkowicie .
Nazajutrz, pod wieczór, w knajpie pojawił się Motyl z białym, gipsowym opatrunkiem na prawej ręce, a gips miał potężny, bo zaczynał się w połowie dłoni i sięgał aż po bark. Motyl usiadł ciężko, ale wesołym głosem, jak na poszkodowanego, zakrzyknął:
- Piwo dla wszystkich .
Radosny śmiech przetoczył się przez salę.
- Jak tam ręka Gienek? - zapytał Rysiu Maliński, barman i zarazem właściciel knajpy.
- A nie narzekam - odparł uśmiechnięty Motyl i ujął szklankę zdrową ręką.
- Na zdrowie - zawołał i upił pół zawartości szklanicy. "Głodnym" rzekł tak jakoś do siebie, ale żeby wszyscy słyszeli, i wyjął z kieszeni kożucha komórkę. Całe towarzystwo zamarło w oczekiwaniu, a Motyl wystukał numer i niezwykle miłym, ale stanowczym głosem, rzucił w słuchawkę:
- Będę za jakąś godzinę - a potem dodał tonem, który nie zwiastował niczego dobrego - i będę głodny Zosiu .
Kiedy skończył rozmawiać łyknął piwa i rozmarzonym głosem rzucił: "zemsta to piękna rzecz", a przez knajpę przeleciał jego mocny, szczery śmiech. Trochę ze strachu, ale również z grzeczności, zawtórowali mu pozostali biesiadnicy.
W oparach dymu i alkoholu toczyły się rozmowy, a Gienek Motyl, rozparty na krześle, uśmiechał się do siebie i miało się wrażenie, że tym uśmiechem zaraża pozostałych; tak szczery i radosny był to uśmiech. Jeszcze długo po tym, jak Motyl wyszedł z knajpy, rozważano jego słowa, te rzucone niby przypadkiem, ale jakby celowo głośno, żeby wszystkim zamieszać w głowach: " zemsta to piękna rzecz ". Zagadywano Felczaka, bo w końcu, kto jak kto, ale to on najczęściej z Motylem pijał, więc powinien wiedzieć więcej, niż pozostali, ale Felczak milczał jak zaklęty, chociaż nawet niewprawnym okiem było widać, że skrywa

jakąś tajemnicę.
Tak minął wieczór, a o potem wieczory następne. Przyszła wiosna i wszystko zostało zapomniane, bo wiosna ma to do siebie, że tak wszystkich zauroczy, zakręci, że z pamięci ulatują wszystkie dawne sprawy: ważne i te mniej ważne.

Mniej więcej po pół roku, pod wpływem kilku piw i tyluż setek, Felczak wygadał się przede mną, jak to Motyl siłą zmusił go, żeby obuchem od siekiery złamał mu rękę i na moje powątpiewanie zarzekał się, jakby śluby jakieś składał, że to najprawdziwsza prawda.
Wtedy mnie olśniło : przypomniały mi się, i te tajemnicze słowa Gienka: "zemsta to piękna rzecz", i słowa dziadka Józefa, który znał wszystkich we wsi i o każdym wiedział wszystko: "Motyle to dobrzy i uczciwi ludzie, ale mają jedną wadę : mściwi są okropniście i z zemsty nie oszczędzą nikogo". Tylko, że nawet dziadek Józef nie mógł przewidzieć , że samego siebie również.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

msh, dodano 18.01.2009 11:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.